

James Tiptree, Jr.  
Pośród życia

Wiosną, kiedy Amory Guilford skończył czterdzieści pięć lat, objawił

się pierwszy symptom jego śmiertelnej choroby.

Żona usłyszała, że się poruszył. Kiedy spojrzała, siedział na brzegu

łóżka, trzymając głowę w dłoniach.

- Coś nie tak, kochanie?

- Nie... nie chce mi się ubrać.

Usiadła.

- Dobrze się czujesz? Nie powinniśmy byli siedzieć tak długo u

Blairsów.

- Nie o to chodzi. Mówię ci, po prostu nie chcę się ubierać.

- Ale...

- Jestem chory i zmęczony na samą myśl o ubieraniu.

Spodnie: lewa noga

w nogawkę, prawa do góry i w nogawkę. Zrobiłem trochę rachunków. Można

spokojnie powiedzieć, że wliczając przebieranie przed kolacją, robię to

czterysta razy rocznie. To jest cztery tysiące w ciągu dziesięciu lat -

szesnaście tysięcy razy do dzisiaj. Dodaj do tego przebieranie się w

stroje sportowe, bryczesy. Jestem pewien, że dotąd włożyłem na siebie

spodnie ze dwadzieścia tysięcy razy. Jestem tym zmęczony. Znudzony! I

zapomniałem o pidżamach. Kolejne szesnaście tysięcy!

- Poproszę Manuela, żeby pomógł ci się ubrać, kochanie.  
- Nie. N i e c h e ę , żeby Manuel pomagał mi się ubierać. Nie chcę się ubierać, jestem znudzony ubieraniem, to wszystko... Czy wiesz, co by się stało, gdybym poszedł tak jak jestem do biura?  
- O, nie...  
- Powiem ci. Wszyscy powiedzieliby "Dzień dobry, panie Guilford", jakby nie stało się nic dziwnego. A gdybym podszedł do komputera, wywołał parę przypadkowych pozycji i usiadł wpatrując się w nie z myślącym wyrazem twarzy, Tony miałby już Georga na modemie, zanim zdążyłbym powiedzieć jedno słowo. I to wszystko, co by się stało, poza tym, że później, tego samego dnia właśnie te akcje podskoczyłyby odrobinę, a to dzięki jakiemuś przeciekowi, który istnieje w firmie, a którego jeszcze nie wykryłem...  
Naprawdę mam ochotę to zrobić. Tylko że zaraz pani Hewlett zadzwoni do Petersa, żeby przyniósł mi ubranie, więc i tak będę je musiał włożyć. Tak jak zrobiła, kiedy odkryła, że ciągle jeszcze mam na sobie smoking...  
Boże, jak ja jestem z n u d z o n y !  
- Ubieraniem się? Kochanie, może przydałby ci się urlop?  
- Nie, nie potrzebuję wakacji. Poza tym do tego też trzeba się ubrać.

Ale w tym momencie już żartował i szedł w stronę garderoby, gdzie

Manuel czekał z garniturem. Wszystko jakoś minęło.

Kolejny symptom pojawił się kilka miesięcy później i był znacznie

poważniejszy.

- Amory, kochanie, co robisz o tej porze w domu?

Zapomniałeś czegoś?

- Nie, po prostu nie jestem w stanie stawić czoła pracy.

- Stawić czoła pracy? Ależ ty ją kochasz! A czy to nie dzisiaj firma,

którą chciałeś przejąć, miała ci złożyć ofertę? Mówiłeś mi o tym.

- Tak, tak... Pickering Drill. Zapłaca. Mam ich na haczyku... Ale w

tym momencie nic mnie to nie obchodzi. Byliśmy już na Palisades Avenue,

kiedy powiedziałem Petersowi, żeby zawrócił i przywiózł mnie do domu.

- Ty naprawdę musisz odpocząć. I myślę, że powinieneś zobaczyć się z

doktorem Ellsworthem. To może być jakiś drobiazg.

Zamówię wizytę. Amory,

nie jesteś sobą, kochanie.

- Wiem.

Usiadł ciężko, wypuszczając z rąk poranną gazetę.

- Nagle przestało mi zależeć na ofercie Pickering.

Następne

trzydzieści czy czterdzieści milionów. Bóg wie, że ich nie potrzebujemy.

Po prostu nie obchodzą mnie Pickering Drill ani Yamachito, czy Aleman, a

nawet Four - L Bits, siedziba mojego imperium - parsknął drwiąco. - Ciężko

pracowałem, żeby je stworzyć, a teraz przestało mnie obchodzić.

- Tony tego nie zrozumie - odezwała się Margo w zamyśleniu.

- Nie. Żaden z nich. Wszystko co widzą, to jak prę do przodu, wciąż do przodu.

- I znowu tak będzie, kochanie. To tylko zły nastrój. Ale jestem pewna,

że doktor Ellsworth...

- Nie. Nie chcę doktora Ellswortha. Chcę... Sam nie wiem, czego chcę...

może po prostu przestać.

- Och, Amory!

- Nie, nie to miałem na myśli...

- Cóż, myślę że najlepiej będzie, jeżeli zadzwonię do pani Hewlett i

powiem jej, że coś nam niespodziewanie wypadło - powiedziała po chwili ciszy.

- Dobrze... nie, poczekaj. Sam nie wiem - podniósł się i zaczął

przemierzać pokój. Czyżby jego zły nastrój mijał?

Tak. Chwilę później, znowu pewny siebie, zawołał Petersa i pojechał do

miasta wpasowując się w swoją starą koleinę. A Pickering Drill złożyło mu

oferę, na której zarobił trzydzieści pięć milionów dolarów. Przyjął je i

ruszył ku nowym celom. Dni mijały jak zwykle.

Ale w następnym tygodniu "nastrój" powrócił i był tak silny, że Amory dwukrotnie wchodził do biblioteki i otwierał szufladę, w której leżał jego stary colt, czterdziestka piątka. Przyglądał mu się, a za drugim razem sięgnął ręką i dotknął zimnej, ciętej w szachownicę rękojeści.

Zdecydowanym ruchem zamknął szufladę i dał się namówić Margo, żeby nie odwoływać kolacji, którą wydawali tego wieczora.

W trakcie przyjęcia zachowywał się normalnie, poza tym, że zaniepokoił

paru gości, przyglądając się im długo i badawczo, w milczeniu, aż

zamierała rozmowa. A następnego dnia zgodził się wyjechać na trzy tygodnie

do nowo otwartego kurortu na Karaibach, który Margo udało się gdzieś wyniuchać.

Te tygodnie i następne cztery miesiące były najbardziej zatrważającym

doświadczeniem w życiu Amory'ego Guilforda.

Wydawało się, że silniki

napędzające jego życie zacięły się i nic nie jest w stanie ruszyć ich od

nowa. Nie mógł odnaleźć motywacji, smaku radości, czy choćby zwykłego

zainteresowania czymkolwiek, chociaż ze stoickim spokojem wykonywał

wszystko, co narzucała mu rutyna. Czuł się dosłownie śmiertelnie znudzony.

Od dłuższego czasu łączyła go i Margo, podobnie jak większość

małżeństw, które znali, przyjaźń pozbawiona już namiętności. Ich dwoje

dzieci studiowało i żyło własnym życiem.

Jego jedyną pasją, jak wszyscy oczekiwali, stała się teraz praca i

tylko od czasu do czasu, mniej czy bardziej mechanicznie interesował się

jakaś nową warzą pojawiającą się w firmie. Jak głęboka była jego

desperacja, świadczy dwukrotna próba powrócenia z Margo do dawnej aktywności.

Ponieważ zupełnie się to nie udało, skierował swą uwagę na dziewczynę,

którą zabrali z biura na wypadek, gdyby powróciło jego zainteresowanie

pracą. Skończyło się to równie nagle jak zaczęło.

Pod koniec pobytu w St. Antrin ledwie był w stanie zmusić się, żeby

włożyć kąpielówki i patrzył oczami bez wyrazu na sprzęt do nurkowania,

który dawniej tak lubił. Prawie przez cały czas chodził w starym, frotowym

plaszczu kąpielowym. Wreszcie Margo zabrała go do domu.

Nic więcej nie można powiedzieć o kolejnych czterech miesiącach. Koniec

nadszedł pewnego popołudnia, kiedy Amory wszedł do biblioteki, wyjął

pistolet, bez ceremonii wsadził sobie lufę w usta i pociągnął za spust.

Nastąpił oślepiający, bezdźwięczny huk.

Potem, ku własnemu zdziwieniu, poczuł, że wstaje na nogi. Stał twarzą

do drzwi, przez które wbiegali ludzie. Obejrzał się w kierunku, w którym

wszyscy patrzyli i zobaczył, że na podłodze coś leży: Odwrócił wzrok...

Dookoła tłoczyli się ludzie.

Starając się ich nie potrącać szedł w kierunku wyjścia. Poruszał się

lekkko i łatwo, bez bólu. Pomyślał, że idzie zupełnie bez wysiłku, w sposób

jakiego nigdy dotąd nie znał.

- Ale, ale... - mrucał po cichu do siebie.

Pozostawiając za sobą wrzawę, zbliżał się do głównych drzwi. Tu zawahał

się przez moment. Poczucie ostateczności było bardzo silne. Wiedział, że

jeżeli opuści dom teraz, już nigdy więcej tu nie wróci. A więc niech tak

będzie.

Minął foyer, przeszedł przez drzwi i zaczął schodzić w dół podjazdem

dla samochodów. Obok auta stał Peters i patrzył w górę na dom.

- Hello - powiedział Amory.

Peters, jak się zdawało, nie słyszał go ani nie widział. Amory ruszył

dalej, zatrzymał się przy bramie z kutego żelaza. Ostatni raz obejrzał się

za siebie.

Już teraz coś w rodzaju mlecznej mgły zawisło między nim a domem.

Wiedział, z całkowitą pewnością i ostatecznie, że nie żyje.

I że znajduje się w krainie śmierci.

Która zresztą na pierwszy rzut oka nie różniła się  
zbyt od krainy

żywych. Za bramą widział znajomą, dwupasmową, czarną  
jezdnię, ocienioną z

dwóch stron przez wysokie drzewa. Dzień był pochmurny,  
światło mglisto

zielonkawe.

Przeszedł przez bramę - nie był całkiem pewien w jaki  
sposób - i zaczął

iść wzdłuż drogi. Nie miał celu i na razie nie potrzebował  
go. Sprawiało

mu przyjemność, że po prostu idzie przez coraz bardziej  
zamglony

krajobraz. Było zupełnie cicho, nie widział ludzi, nie  
przejechał koło

niego ani jeden samochód. Droga nie wiadomo kiedy  
zmieniła się w ulicę

małego miasteczka. Cichego miasteczka, bez ludzi i bez  
ruchu. Po pewnym

czasie droga znowu zmieniła charakter. Teraz szedł  
między blokami cichego

miasta.

Szedł i szedł. Wciąż było zupełnie jasno, chociaż  
wiedział, że powinien

już zapadać zmrok. Zegarek, jak stwierdził, zatrzymał się  
na piętnastej

czterdzieści osiem.

Po pewnym czasie zaczął dostrzegać w oddali bezgłośnie  
samochody,

przecinające ulicę, którą szedł i zawsze znikające w którejs  
z przecznic.



Jeden z nich przejechał tak blisko, że Amory zaczął krzyczeć i biec w jego kierunku, ale gdy dotarł do rogu, wciąż zaskoczony brzmieniem własnego głosu, samochodu nie było już widać .

Szedł dalej oszołomiony rosnącym przekonaniem, że zna tę okolicę. Ten róg, ów budynek - był przekonany, że już wcześniej je widział, może nawet wiele razy. Ale tutaj wyglądały jakby źle poskładane, z niepasujących do siebie kawałków.

Minął luksusowy kompleks budynków. Był tam dobrze mu znany dom, gdzie na ostatnim piętrze mieszkał jego przyjaciele. Czy powinien pójść tam i sprawdzić jakie zrobi wrażenie?

Zajrzał do oświetlonego wnętrza. Było pusto. Wydawało mu się, że widzi ciemny, nieruchomy kształt za kontuarem recepcjonisty. Czy był to ktoś, kto mógłby mu wytłumaczyć, gdzie się znajduje? Wątpił w to. Po chwili szedł dalej.

A jednak przez cały czas miał uczucie deja vu. Jedyne, co było nieoczekiwane czy dziwne w tym co widział, to zupełny brak życia. Nie był pewien, co to za miasto. A może były to te same ulice, które mijał każdego dnia? Czy też znał je z wcześniejszych czasów? Nie umiał powiedzieć.

W dali przed nim widniała mglista kurtyna, która  
przeszkadzała widzieć  
na dużą odległość. Kiedy obejrzał się, zobaczył, że taka  
sama zasłona  
oddziela go od budynków, które minął.  
Zapragnął znaleźć się poza miastem. Na drodze widział  
znaki z nieznanym  
mu numerem autostrady. Ale ich obecność oznaczała, że  
kieruje się ku  
wyjazdowi z miasta. Dobrze.  
To będzie daleka wędrówka, ale marsz nie męczył go,  
zresztą nie miał  
innego wyjścia. Teraz przynajmniej miał już cel.  
Przyspieszył kroku.  
Zaczął odczuwać zdziwienie - więcej niż zdziwienie,  
Czuł się obrażony  
przez brak jakiegokolwiek przyjęcia. Przeszedł przecież  
ważną granicę  
między życiem a śmiercią. Czy nie należał mu się jakiś  
znak rozpoznania  
lub wytłumaczenie? A przynajmniej jakaś informacja,  
która powiedziałaaby  
mu, gdzie się znajduje i co tu się dzieje?  
Żadna ze znanych mu religii nie głosiła podobnie  
dziwnego istnienia. On  
sam, choć się z tym nie afiszował, był niewierzący, ale  
sporo czytał na  
tematy religii, a Margo od czasu do czasu brała go do  
kościółka na śluby i  
rocznice. Wiedział, że nie jest ani w Piekło, ani w Niebie,  
a jeżeli  
został osądzony, to nie był tego świadomy. Czy było  
możliwe, że znalazł

się w jakimś miejscu przejściowym, zgodnie ze  
wschodnimi koncepcjami

czekając na ponowne urodzenie?

Miał tylko nadzieję, że otrzyma postać ludzką, nie  
zwierzęcą. Nie

uważał się za aż tak złego, żeby wcielić się na przykład w  
karalucha.

Naprawdę nie sądził, że zasłużył na karę tylko dlatego, że  
urodził się

bogaty, a stał się jeszcze bogatszy. Zawsze dawał  
pieniądze na cele

dobroczynne, jeżeli można to uznać za cnotę i tu i ówdzie  
pomógł paru

osobom. Margo pilnowała tego. Za co więc był tutaj  
trzymany?

I gdzie był?

Przypomniawszy sobie, że zgodnie z którąś z koncepcji życia  
po śmierci

istniało miejsce zwane Czyścem, nie będące ani Piekłem,  
ani Niebem.

Zdawało mu się, że tam miały trafiać przypadki wątpliwe.  
Na przykład nie

ochrzczone niemowlęta. Miał nadzieję, że miejsce w jakim  
się znajdował nie

było czyścem. Wszystko, co o nim czytał, było  
nieznośnie nudne, a

zapamiętane zdania brzmiały wielce niejednoznacznie. O  
nie, wszystko,

tylko nie Czyściec - mrucał do siebie.

Nagle wpadł na pomysł, który tłumaczył cały ten świat.  
To był zlepek

wspomnień, starych i nowych, świadomych i  
zapomnianych. Wszystko tutaj

pochodziło z jego własnego umysłu - w efekcie żył więc  
we własnym mózgu,  
włócząc się po tym, co kiedyś widział, słyszał lub przeżył.  
Łazić po  
własnej głowie, zamamrotał i parsknął śmiechem, który  
bardziej przypominał  
szczeknięcie i odbił się dzikim echem po pustej ulicy.  
Ta myśl nie odpowiadała mu, ale nie mógł się jej  
pozbyć. Straszyla  
wiecznością nudy, jeżeli miałyby to być wieczność. Lub  
może, jak w  
opowieści, którą czytał, wszystko, co teraz przeżywał,  
trwało tylko  
mgnienie rzeczywistego czasu, sekundę między wejściem  
kuli a zatrzymaniem  
pracy mózgu, kiedy umrze naprawdę. Oczekiwał, że  
śmierć będzie nicością,  
całkowitym wymazaniem Amory'ego Guilforda. Tego  
pragnął, a nie nudnej  
wycieczki przez przypadkowe wspomnienia.  
I dlaczego nie było tu ludzi? Przecież pamiętał ich. A  
ruch uliczny?  
Czy miało to być wskazanie, że zbyt mało uwagi  
poświęcał ludziom? Zbożne  
przesłanie, mające wywołać żal za grzechy? No dobrze.  
Ale przecież myślał  
o bliźnich tyle samo co inni ludzie jego pokroju, należący  
do jego klasy,  
pomyślał broniąc się. Nie zasłużył na tę... tę izolatkę. Bo  
jeżeli nawet  
zgrzeszył, cóż dobrego miałyby dać takie osamotnienie?  
To była brzydka

kara i bezużyteczna bez innych, którzy mogliby go oglądać.

A może był to jednak znak, że narodzi się jeszcze raz, że otrzyma

jeszcze jedną szansę? Przyspieszył, znowu czując się obrażony. Myśl, że

stanie się ponownie bezradnym, wrzeszczącym niemowlakiem nie przemawiała do niego.

I w tym momencie zauważył jeszcze coś, co nim wstrząsnęło. Mglista

kurtyna, która zamykała przed nim ulicę, zdawała się przybliżać. Odwrócił

się i zobaczył, że to samo działo się za nim. Widział teraz tylko kilka

budynków. Spojrzał przed siebie i zaczął liczyć - pięć, sześć, dalej była

tylko mgła. Był pewien, że jeszcze przed chwilą widział osiem czy

dziewięć. Wolna przestrzeń, która wędrowała wraz z nim  
k u r c z y t a s i

ę!

O, nie! Zaczął się bać, puls bił mu coraz szybciej. Ale wszystko, co

mógł zrobić, to iść nieco prędzej, bojąc się chwili, kiedy przestrzeń

zniknie: Ta myśl przerażała go - być zapakowanym we mgłę, jak dziecko w

pieluchę, sam na sam z własnym umysłem.

A może miała to być taka noc, która powinna już zapaść?

Nie wiedział, tylko szedł naprzód, prawie biegł. Tak bardzo chciał

wydostać się z miasta, na świeże powietrze. Gdzie,  
pomyślał zakłopotany,  
mgła nie otoczy go tak łatwo.

I nagle spostrzegł, że naprawdę wychodzi z miasta. Po  
obu stronach

szosy widział duże stacje benzynowe, a za nimi rozległe  
pawilony handlowe

- oznaki przedmieść. Przyspieszył.

W tym momencie coś innego przyszło mu do głowy.  
Słyszał kiedyś opowieść

o człowieku, który strzelił sobie w głowę, jednak nie  
umarł, ale

kontynuował swoją egzystencję na poziomie jarzyny.  
Okropność. Może coś

takiego przydarzyło się także i jemu? Może jego ciało  
nawet w tej chwili

jest w szpitalu, podłączone do dziesiątków maszyn i  
urządzeń utrzymujących

jego narządy przy życiu, podczas gdy umysł bredzi. Może  
widoczne zamykanie

się świata oznacza powrót do ciała i rozpoczęcie w nim  
"życia" idioty.

- O, Boże - wezwał Boga całkiem automatycznie, a  
potem przestraszył

się, czy nie uraził Nieznanego.

Cóż, jeżeli nie udało mu się zabić siebie, oczywiste było,  
że powinien

zakończyć to co zaczął. Zabić się na śmierć. Teraz. Ale  
jak? Nie widział

niczego, czego mógłby użyć jako broni.

Minął cały ciąg pawilonów handlowych. Nie było tam  
żadnego sklepu z

bronią. Nie było też żadnej obsługi. Trudno, jeżeli trafi na  
dział

metalowy, po prostu wejdzie i weźmie sobie nóż. To  
będzie raczej brudny

sposób, a takie bolesny. Ale pomyślał, że poradzi sobie.

Minał kolejny ciąg. Znowu żadnego sklepu z  
narzędziami. Ale na pewno

zaraz jakiś się trafi. Przecież pamiętał je tak dobrze. Szedł  
rozglądając

się uważnie, dopóki nie odwrócił jego uwagi jakiś dźwięk  
dochodzący z

tyłu.

Drogą, która była już teraz niewątpliwie międzystanową  
autostradą,

nadjeżdżała szybko duża ciężarówka.

Mógłby rzucić się pod nią! To na pewno by wystarczyło.  
Wiedział, że

ludziom udawało się zabić, w ten właśnie sposób. A jego  
ciało było zwinne

i miał całkiem niezły refleks. Może spróbować.

Przeszedł przez barierkę ograniczającą autostradę i  
kucnął za jakimś

krzakiem.

Ogromny dwunastokołowiec toczył się naprzód z  
przerazającą szybkością.

Był niebiesko - biały, z ogromną kratownicą z przodu.

Mignął mu napis: "Leroy's Transport" nad szybą  
samochodu. Szybko... t e

raz...

Wyskoczył do przodu, dokładnie przed maskę  
samochodu.

Ale już w momencie, w którym skakał, wiedział, że  
zrobił to za

wcześnie. Usłyszał pisk hamulców i potwór zawisł nad nim, przewracając go pędem powietrza.

Kiedy podniósł się, zobaczył, że ciężarówka stoi. Sam nie wiedząc

czemu, niepewnie ruszył w jej stronę.

- Co wyprawiasz, chciałeś się zabić?

Kierowca zląził ze swej kabiny na dół, trzymając w ręce lśniący klucz

nasadowy. Amory poczuł ulgę widząc, że jest to mały, chociaż krzepki

mężczyzna, o przerzedzających się rudych włosach. Kiedy był blisko,

mężczyzna powtórzył pytanie:

- Chciałeś się zabić?

- Tak - odpowiedział Amory przepraszająco. - Ale nie trafiłem.

- Patrzcie go, jaki skoczek. Nie, to nie ty chybiłeś, to ja cię nie

przejechałem. Powinieneś być mi wdzięczny. Na pewno nie pomyślałeś o tym,

co mogłeś zrobić mojej budzie. I mnie. Nigdy o tym nie myślicie.

- Przepraszam - powiedział Amory myśląc o czymś innym. Zauważył, że

wokół samochodu i kierowcy świat był inny. Krajobraz był bardziej nasycony

barwami, z większą ilością szczegółów, a mgła prawie zniknęła. Znowu

słysząc było codzienne hałasy. Gdzieś w przodzie krzyczał jakiś mężczyzna

na stacji benzynowej i Amory widział tam żywych ludzi - nie żadne ciemne



duchy jak cień mężczyzny przy kontuarze recepcyjnym,  
ale prawdziwych,

ruszających się ludzi. I świeciło słońce. To było cudowne!

- To ty jesteś Leroy? - zapytał kierowcę.

- Tak, to moja buda. Mogłeś ją nieźle załatwić.

- Naprawdę jest mi przykro. Nie przypuszczałem, że  
ludzkie ciało może

uszkodzić coś tak dużego i twardego.

- Taa, wy nigdy nie myślicie. No dobrze, muszę już  
jechać.

Amory myślał gorączkowo. Nigdy nie znał żadnego  
kierowcy ciężarówki.

Leroy musi być prawdziwym człowiekiem, nie kolejnym  
umarlakiem jak on sam.

Świat Leroya bardzo różnił się od jego świata. Na korzyść.  
Nie może

stracić z nim kontaktu.

- Zaczekaj. Nazywam się Amory. Chciałbym pojechać z  
tobą. Da się to  
zrobić?

- Wbrew przepisom. Żadnych pasażerów.

Amory znalazł w kieszeni swój portfel i wyciągnął go.

Wewnątrz było

parę setek i złota karta kredytowa. Pokazał banknoty.

- Czy to pomoże, Leroy? Dam więcej, kiedy zatrzymamy  
się koło banku. A

zawsze przecież możesz powiedzieć, że spotkałeś mnie  
wałęsającego się

nieprzytomnie i zabrałeś do szpitala... Zresztą pierwsza  
część jest

prawdziwa, tylko, że ja nie potrzebuję lekarzy. No, jak?

Leroy nie patrzył na rękę Amory'ego, ale w jakiś sposób  
banknoty

zmieniły właściciela.

- Myślę, że moglibyśmy tak zrobić - powiedział powoli.

- Świetnie - przez moment Amory czuł, że zalewa go fala radości. - Więc

jedziemy... jeżeli, hmm, samochód jest w porządku.

- Ona jest O.K, chociaż na pewno nie dzięki tobie.

Wsiadamy.

Amory obszedł długi nos samochodu, złapał za klamkę i wdrapał się do

szoferki. Wszystko co wiedział o ciężarówkach, to to, że mają dużo biegów,

i jak słyszał, za siedzeniami powinno być miejsce, gdzie kierowca mógłby

się zdrzemnąć. Tutaj też było. Puste.

Widząc świeżą farbę i wszystko aż błyszczące od nowości, powiedział:

- Piękna. Powiedziałaś "ona". Ma jakieś imię?

Leroy chował klucz do pudła na narzędzia.

- Perła - powiedział nieco wstydliwie. - Nazwałem ją Perła, bo to

perłka, nie samochód.

- Naprawdę piękna. Gdzie jedziemy?

Leroy włączył silnik i wrzucił bieg. Zjeżdżał wolno z pobocza, powoli

zwiększając prędkość.

- Mam ładunek do Chicago - powiedział.

- Chcesz jechać bez zatrzymania? Boję się, że nie potrafię cię

zastąpić.

- O, na pewno nie. Na tej trasie zazwyczaj staję w Overlook. Wszyscy

kierowcy robią tam postój. Miejsce jest pierwsza klasa. W Overlook jest

wszystko sklepy, kino, no i ten, bank. Można by siedzieć tam i tydzień.

- Dobrze. Mam na myśli bank. Sam też potrzebuję trochę gotówki. -

Najwyraźniej w świecie Leroya obowiązywały te same zasady co jego. Jak coś

dostajesz - płacisz. To było dobre, potrzebował czegoś praktycznego, żeby

się tego uchwycić. Teraz Amory czuł się coraz lepiej. Motel dla kierowców

też był dla niego nowym doświadczeniem. Zastanawiał się: czy to normalne,

że umarli spotykają się tutaj? Może tylko ci, którzy dopiero niedawno

pożegnali się z I tamtym światem? Tajemnicze...

- Od kiedy jesteś tutaj? - zapytał.

Leroy odwrócił gwałtownie głowę w jego stronę, patrząc dziwnymi,

wrogimi oczyma. Amory pożałował pytania. Sprawy wyglądały dostatecznie

źle.

- Co masz na myśli mówiąc "tutaj"?

- Przejeździłem się. Chodziło mi o to, jak długo jeździsz? Ciężarówką.

Mały człowiek rozluźnił się znowu.

- W marcu będzie trzydzieści lat. A tą - od roku - po raz pierwszy

jestem właścicielem.

- Rozumiem, dlaczego byłeś na mnie tak wściekły, że o mało ci jej nie

uszkodziłem. Naprawdę nie przypuszczałem, że było to możliwe.

- Powiedz, czy ty nie jesteś czasem... śledczym grzebiącym w tej sprawie, doków w Pennesy?

- Co? Nigdy nie słyszałem o dokach w Pennesy. Na pewno nie jestem żadnym agentem. Jestem po prostu tym, na kogo wyglądam.

Leroy powoli zaczynał mu wierzyć.

- No tak. Chyba żaden inspektor by tak nie skakał. W porządku.

Pytanie podsunęło Amory'emu pewną myśl. W dokach musiał zdarzyć się

wypadek, w którym zginął Leroy. Ale nie przyznawał się do tego nawet przed

, sobą, po prostu nie przyjmował do wiadomości, że mu się cokolwiek stało

i żył dalej w świecie duchów. Ale jak mógł prowadzić ciężarówkę? Cóż,

samochód był częścią jego wyobrażenia o sobie, tak jak dla Amory'ego

ubranie. On również wyszedł z biblioteki w garniturze. A więc jego strój

musiał być również widmowy, chociaż dotknął marynarki - wydawał się

całkiem solidny. A portfel tkwił nadal w kieszeni. Tak więc kiedykolwiek i

cokolwiek stało się w dokach Pennesy, co zabiło Leroya, musiał on stamtąd

odjechać swą widmową, ciężarówką, w ten sam sposób w jaki Amory wyszedł w ubraniu.

Trzeba uważać, żeby nie zniszczyć wiary małego człowieka w realność

tego wszystkiego, co ich otacza, bo inaczej świat, w którym Amory czuł się tak dobrze, może zniknąć. Wydawało się jednak, że takie niebezpieczeństwo nie istnieje - był pewien, że nawet gdyby powiedział Leroyowi, że jest on martwy, w odpowiedzi usłyszałby tylko śmiech.

"Ja - nieżywy, o co ci chodzi" - i rzeczywiście, pomyślał Amory, o co mi właściwie chodzi?

Toczyli się w stronę nie przemijającego zachodu słońca, potykając kilometr za kilometrem. Teraz droga nie była już pusta. Od czasu do czasu ktoś doganiał ich i wyprzedzał, wszyscy kierowcy zachowywali się niezwykle poprawnie. Widocznie Leroy zachował tylko dobre wspomnienia.

Chwilami rozmawiali, głównie o samochodach. Amory był zachwycony uzyskując tyle informacji o ciężarówkach. Pomyślał, że jeżeli kiedykolwiek wróci za komputer, będzie musiał sprawdzić parę firm. Najlepsza jest bezpośrednia informacja od konsumenta. To wszystko wydawało się wprost nie do wiary. Musiał sam sobie przypomnieć, że przecież nie żyje i jest bardzo mało prawdopodobne, żeby mógł kiedykolwiek wykorzystać to doświadczenie.

Jedynym znakiem potwierdzającym stan, w jakim się znajdował, był fakt,

że rozjaśnione słońcem niebo nie ciemniało z upływem godzin. Był piękny wieczór. Neony i łukowe lampy wyglądały jak kwiaty na jasnym niebie, przez cały czas tak samo.

Leroy nie komentował nienaturalnej długości dnia. Kiedy zbliżyli się do dużego, trypoziomowego rozjazdu, mały człowiek pokazał przed siebie.

- Oto Overlook - powiedział z satysfakcją.

Amory pomyślał, że budowla przypomina średniowieczny zamek na wzgórzu.

Najwyższy poziom stanowiła grupa budynków połączonych dużym napisem:

OVERLOOK - BAR I GRILL DLA KIEROWCÓW, a pod spodem HOTEL 24 godziny, tuż obok zakazu wjazdu osobowych samochodów.

Zjechali z autostrady na parking pełen dużych ciężarówek i przyczep. Po

lewej stronie widniał potężny supermarket, po prawej dwupiętrowy budynek,

w którym mieścił się bar i grill. Wszystkie drogi i rozjazdy były

obliczone na wielkie ciężarówki. Leroy wjechał na parking strzeżony.

Elegancka dziewczyna w uniformie podała mu bilet.

- Na całą noc, Patty.

- Tak jest, panie Leroy - Patty obdarzyła go zawodowym uśmiechem.

- Wszyscy mnie tutaj znają - Leroy zwierzył się

Amory'emu, uśmiechając

się szeroko i z wprawą parkując tyłem w szczelinie między dwoma potworami.

Kiedy wysiedli, Amory poczuł podniecenie i ożywienie. Tak działała na niego wielkość tych ustawionych rzędem ciężarówek. To wszystko było dla niego zupełnie nowe.

- Bank jest tam - powiedział Leroy prowadząc go w stronę oświetlonego

budynku. - O tej porze będzie otwarty?

- Dwadzieścia cztery godziny. Zobaczysz. Tutaj nic nigdy nie jest zamknięte.

Za rzędem sklepów, z boku, Amory zobaczył okienka małego banku. Nie był

to ten, w którym miał otwarty rachunek. Kolejna rzecz, którą postanowił zapamiętać.

Po krótkiej, całkowicie zwyczajnej wymianie uwag otrzymał pięćset

dolarów ze swojej złotej karty kredytowej. Kiedy urzędniczka sprawdzała

telefonicznie stan jego konta, Amory zastanawiał się, kto może być po

drugiej stronie linii. Centrala Czyścica? Wydawało mu się niemożliwe, żeby

to wszystko, włącznie z pięcioma banknotami, które mu wręczono, było tylko

bezpociągowymi fragmentami jego pamięci.

Wziął jedną setkę i podał ją Leroyowi - .

- Żebyś nie zapomniał o mnie i sam nie odjechał - uśmiechnął się.

Mały człowieczek zaprotestował, ale w końcu dał się namówić do włożenia

banknotu do wymiętoszonego portfela.

- Powiem ci, gdzie nie zamierzam iść dziś wieczorem -  
powiedział do

Amory'ego - W każdym razie nie z tym.

- Gdzie?

- Nie do zielonego stolika.

- O, to i kasyno jest tutaj?

- Mówiłem ci. W s z y s t k o . - Spojrzał na Amory'ego  
z zawstydzonym

uśmiechem i dodał cicho. - Dziewczyny też. H o s t e s s  
y .

- Naprawdę?

- O, tak. Człowieku! - Leroy trzepnął się czapką o  
kolano. Wyszli przed

budynek zalany ciągle złotym światłem i przeszli jezdnię,  
kierując się w

stronę baru. Panował tam wesoły gwar. Dwie czy trzy  
osoby pozdrowiły

Leroya. Pomachał w ich stronę. Bar był miłym, dużym  
pomieszczeniem, w

którym wszystko zrobiono z drewna, z belkami pod  
sufitem, dębowym barem i

stołkami. Właśnie zaczął się zapełniać. Wszyscy tu obecni  
byli kierowcami,

większość z nich stanowili potężni ludzie z gór,  
przypominający pojazdy  
jakimi jeździli.

Amory w swym trzyczęściowym garniturze czuł się  
pomiędzy kumplami

Leroya jak intruz. Pomiędzy w y o b r a ż o n y m i  
kumplami, poprawił sam

siebie. Na miłość Boską, nie może zapominać, że jest  
duchem żyjącym we

wspomnieniach innego ducha...



Ale wszystko było takie rzeczywiste, tak przekonywające... Świat umysłu

Leroya był niezwykle solidny i szczegółowy.

Na ekranie dużego telewizora rozgrywały się jakieś zawody sportowe, a z

drugiego pomieszczenia dochodziła muzyka, tam najwyraźniej tańczono. Leroy

szedł prosto w stronę baru, Amory za nim.

- Witaj, Leroy - pozdrowił go barman, krzepki facet z kręconymi,

czarnymi włosami.

- Dwa jasne - zamówił Leroy rzucając czapkę na bar.

Amory nie czuł ani głodu, ani pragnienia, nie miał żadnych fizycznych

potrzeb. Ale piwo wyglądało kusząco. Spróbował - okazało się niezłe. Część

pragnień Leroya musiała się przenieść na niego. Wypił więcej.

Z sali tanecznej wyszła jakaś kobieta i przeszła wokół baru z pewnością

siebie osoby wykonującej zawód. Nie znalazłszy chętnego, wyszła.

- Jest dzisiaj Dot? - Leroy zapytał barmana.

- Pewnie.

- Poczekaj aż ją zobaczysz - szepnął Amory'emu.

- O, to ona.

W drzwiach stanęła wysoka, dobrze zbudowana młoda brunetka. -

Hej, Dot! Dottie! Tutaj!

- Hej, mój mężczyzno - kołyszącym się krokiem ruszyła w ich stronę,

zerkając ciekawie na Amory'ego.

- Twój znajomy, złotko?

- Taa, jest ze mną. Ale to nie szoferak.  
- Właśnie widzę - uśmiechnęła się do Amory'ego. Jej  
oczy były prawie na  
tym samym poziomie co jego.  
- Znajdziesz mu jakąś miłą dziewczynkę?  
- Nie, nie - zaprotestował Amory. - Dziękuję, ale nie,  
naprawdę  
dziękuję... jeszcze ciągle jestem trochę w szoku. - Seks z  
duchem, czy  
kimś w tym rodzaju... nie da rady, pomyślał.  
- W porządku - powiedział Leroy, po czym wyjaśnił  
Dot:  
- O mało nie wpadł pod moją ciężarówkę na  
dziewięćdziesiątej pierwszej.  
  
- Miła dziewczyna pomoże panu poczuć się lepiej.  
Protesty Amory'ego ostatecznie zakończyły tę sprawę.  
Dot dostała piwo,  
a Leroy wychylił następne, zdradzając zniecierpliwienie.  
Amory zauważył,  
że za barem znajdują się schody prowadzące na górę.  
- Tam są pokoje - zauważył jego spojrzenie Leroy -  
zupełnie miłe...  
Hej, Georgio, daj nam klucz.  
Położył setkę i dostał dwadzieścia pięć dolarów reszty.  
Amory zobaczył,  
że Dot wymienia z barmanem skinienia.  
- Chodź, kochanie - Leroy ciągnął Dot od baru.  
- To co lubię - Dot zaśmiała się do Amory'ego - to te  
długie  
narzeczeństwa.  
- Do zobaczenia:

Mówiąc to Leroy popychał Dottie w stronę schodów;  
najwyraźniej zupełnie  
nie przejmując się, że przy tej kobiecie wygląda na  
śmiesznie małego. Była  
od niego wyższa o dobrą głowę.

Tak jak jego duża ciężarówka, pomyślał Amory.

Kiedy wyszli, poczuł się tak, jakby coś stracił. Wydało  
mu się, że

światła trochę przygasły, kiedy para zniknęła w cieniu  
zakrywającym górę

schodów. I wszystko zaczęło się toczyć jakby trochę  
wolniej, chociaż

ciągle panował ten sam gwar.

Działo się tak, jakby świat Leroya słabł; gdy on  
opuszczał scenę

wydarzeń. Czy gdyby odszedł zbyt daleko, wszystko po  
prostu by znikło?

Ogarnięty paniką Amory patrzył na barmana zamarłego w  
pozie nalewania do

kieliszków, z których jednak nie przelewał się płyn.

W przypiływie strachu Amory wbiegł na schody,  
krzycząc:

- Leroy! Leroy!

Nie usłyszeli go. Już miał zamiar krzyknąć jeszcze raz,  
kiedy jakiś

głos powiedział mu wprost do ucha.

- Czy straciłeś zmysły, człowieku? Dajże duchowi  
chwilę odosobnienia.

Amory odwrócił się. Mężczyzna, który mówił do niego,  
siedział przy

barze. Amory zauważył ostre spojrzenie jego czarnych  
oczu.

- Ale... ale - mamrotał Amory zupełnie speszony sytuacją. - Kim pan jest?

- Nie poznajesz mnie? - zapytał mężczyzna. - Sam mnie wezwałeś.

- Wezwałem?

Mężczyzna wskazał na miejsce koło siebie. Amory zobaczył, że ma on

bardzo bladą twarz, w której żarzyły się oczy jak węgle i poczuł dreszcz

strachu. Kiedy usiadł, mężczyzna odezwał się obojętnie.

- Jestem Śmierć. A ściślej mówiąc, jej pełnomocnik.

Amory, opanowany przez mieszankę fascynacji i przerażenia, czuł też coś

w rodzaju zadowolenia. Wreszcie usłyszy jakieś wyjaśnienie. Mężczyzna,

który nazwał się pełnomocnikiem śmierci wyglądał zupełnie przeciętnie,

tylko jego oczy przyciągały uwagę i ubranie, które wcale nie było zresztą

ciemniejsze od garnituru Amory'ego. To nie był duch ani zjawa... Kim był?

Ale zanim Amory zdążył się odezwać, mężczyzna powiedział:

- Teraz ty możesz coś zrobić dla mnie.

Jakaś kobieta tanecznym krokiem przeszła przez bar. Była to przystojna,

drobna blondynka, ale poruszała się powoli jak zombi.

Poza nią wszystko

znieruchomiało, tylko hałas wznoszący się w górę po schodach, aż do pokoi

hotelowych panował ciągle ten sam. Blondynka sunęła w stronę Amory'ego, z

jej ust wydobywało się coś, jakby cichy jęk, jak odgrywana w bardzo zwolnionym tempie taśma.

- Co? - powiedział Amory, myśląc o czymś innym. - Spójrz, bez niego

wszystko idzie nie tak. To jest... to jest groteskowe, okropne.

- Przeszkadza ci? No oczywiście. - Mężczyzna podniósł rękę i strzelił

palcami. Od razu światła jasno rozbłysły, wszystko przyspieszyło do

normalnego tempa. Blondynka wirowała śmiejąc się głośno.

- Lepiej?

-O, tak. Uff, dziękuję. . .

Mężczyzna przyglądał się Amory'emu. W jego wzroku było coś klinicznego.

- Czy ty to wszystko rozumiesz? - zapytał Amory.

- Tak.

- Więc gdzie jesteśmy?

- W krainie śmierci. Jednej z nich.

- I wszystko to są wspomnienia, prawda? Czyjeś wspomnienia?

- Tak.

- Więc dlaczego moje są tak słabe. I zamglone?

- Ponieważ śmierć dotknęła cię jeszcze za życia.

Amory zastanowił się nad tym. To prawda, tak to odczuwał, gdy żył.

Dotyk śmierci. Właśnie to.

- Dlaczego? - Mężczyzna nie odpowiedział mu wprost. Zamiast tego

stwierdził:

- Jesteśmy podobni. Wyczułem to od razu, jak tylko się zbliżyłeś.

Nadasz się.

Amory ciągle jeszcze się zastanawiał.

- Ale to jest śmierć?

- Tak.

- Tu nie jest tak jak sobie wyobrażałem. Wierzyłem, że wszystko po

prostu się zatrzyma. Nicość. Zero.

- Jedyna wiara, która nie zostaje spełniona.

- Dlaczego? To znaczy myślę, że tak byłoby logicznie.

Co dzieje się z

płomieniem świecy, kiedy świeca się wypali?

- Być może nie tak łatwo jest zgasić iskrę świadomości, gdy już się ją

zapali.

- Ale powinno być łatwo. - Amory przywołał prosty, ale żelazny

argument:

- Pomyśl, świadomość to jeden z najwyższych stopni rozwoju. Ostatni.

Powinna więc być wątła. To jest... no przecież wystarczy parę kieliszków i

już jej nie ma, uleciała.

- Być może - obojętnie odpowiedział błądy mężczyzna.

- Powiedziałeś, że jest to jedyna nie spełniona wiara - odezwał się

Amory z namysłem. - Czy to znaczy, że pozostałe wierzenia są spełnione?

Gdybym wierzył w to, w co się na ogół wierzy: perłowe bramy, święty Piotr,

śąd, Niebo, Piekło, czy znalazłbym je tutaj?

- Tak. Podobnie jest z innymi religiami.

- Co by się stało, gdybym wierzył, że pójde prosto do piekła? ~

Znalazłbyś się tam. Gdybyś naprawdę wierzył.

- Ależ to okropne. Piekło... Na jak długo? Na wieczność? A kiedy to się skończy? Co się wtedy stanie?

Pełnomocnik śmierci przyglądał się swoim dłoniom.

- Powiedziałem, że jest to jedno z królestw śmierci. Dla pewnej,

specjalnej grupy osób. Dla niewierzących.

- To ja.

- Właśnie. Ale powiedziałem także, że jesteś kimś szczególnym. - Jego

głos nagle się zmienił. - Czy mógłbyś wyjść ze mną na chwilę? Jest coś, co

chciałbym ci pokazać.

Rzuciwszy okiem na schody, gdzie nie było ani śladu Leroya, Amory

wyszedł za bladym mężczyzną na zewnątrz.

Nadal był jasny dzień. Dwie półciężarówki wjeżdżały na parking. Jego

nowy znajomy zatrzymał się przy wjeździe.

- Spójrz na niebo, w miejscu gdzie ciemnieje. Czy widzisz smugę światła

odbijającą się na chmurach?

Amory zmrużył oczy i przyjrzał się niebu. Zobaczył jasną ścieżkę

przecinającą granat, jakby odbicie światła znajdującego się poniżej. Gdy

przyglądał się, odbicie przesunęło się.

- Jak sądzisz, czy mógłbyś dojechać do miejsca, z którego widać

światło? /- Oczywiście, jeżeli tylko dochodzi tam jakaś droga. Co to jest, miasto?

- Wszystkie drogi tam prowadzą... Nie, to jest główny zbiorczy punkt

dla tego obszaru. Powinienem być tam w tej chwili, ale musiałem nadłożyć

drogi, żeby spotkać wszystkich nowo przybyłych. - Skinął na Amory'ego,

żeby ten poszedł za nim i zniknął za rogiem budynku.

- Widzisz, liczba przybywających wciąż wzrasta i wzrasta. Zgodnie ze

starymi zwyczajami każdy był witany indywidualnie, ale... - rozłożył ręce

w geście bezradności - teraz staramy się podołać chociaż tym, którzy

zadają pytania. Niedługo zaczniesz ich wyczuwać. Tacy ludzie jak twój

przyjaciel nie wymagają opieki. Są zadowoleni. Może po pewnym czasie i on

zacznie potrzebować pomocy, ale nie w tej chwili. I tu właśnie jesteś mi

potrzebny.

- Ja? O czym mówisz?

- Po prostu pokręć się tutaj. A kiedy wyczujesz, że ktoś nie daje sobie

sam rady, zatrzymaj się i porozmawiaj z nim. Tymi, którzy są zadowoleni,

nie zawracaj sobie głowy.

- Czy to oznacza, że oddajesz mi swoją pracę? - dopytywał się Amory z niedowierzaniem.



- Zareczam ci, że tylko jej część. Dla mnie pozostanie jeszcze bardzo dużo. To jest mój samochód.

Doszli właśnie do małego parkingu. Mężczyzna pokazał kluczykami ciemnokasztanowe BMW, bardzo podobne do tego, którego właścicielem był za życia Amory.

- Tak jak powiedziałem. Jesteśmy bardzo podobni. Proszę... - Zanim

Amory zdążył zaprotestować, kluczyki spoczywały już na jego dłoni. - Daję ci go.

- Dlaczego? O co w tym wszystkim chodzi? Nie chcę.

- Ależ tak, chcesz. Będziesz się czuł lepiej, przynajmniej na początku.

A poza tym to jest tyle co nic... tutaj dostaje się takie rzeczy po prostu

kiedy się ich pragnie... w odpowiedni sposób.

- Hm... Czy dostanę wszystko, czego będę chciał?

- Tak. Właściwie wszystko. Z wyjątkiem żywych ludzi.

Spróbuj.

- Mam spróbować chcieć czegoś?

- Tak.

Amory stał zakłopotany, gdy nagle stwierdził, że jednak ma życzenie.

Chciał psa, którego posiadał będąc małym chłopcem, czarnego labradora.

Poprosił o niego, niezdarnie wypowiadając słowa. W ostatnim momencie

przypomniał sobie, żeby myśleć o Dorym, takim jakim był na początku, nie

starym psie, którym się potem stał.

W pierwszej chwili nic się nie wydarzyło.

A potem nagle czarny cień, który był psem, wypadł  
szczekając zza rogu

budynku - zatrzymał się, obsiusiał mur jak to zwykł robić  
Dory i popędził

w stronę Amory'ego. Mimo przekonania, że jest to fantom,  
zjawa, gdy pies

biegł do niego, taki żywy i prawdziwy, Amory nie mógł  
się powstrzymać.

Przyklęknął, wyciągając rękę, żeby przywitać się z  
labradorem jak niegdyś.

Czuł się dziwnie podniesiony na duchu.

Mężczyzna stojący z boku uśmiechnął się.

- Miły pies.

- Tak. - Amory podniósł się i otrzepał kurz z kolan. -

Siad, Dory.

Dory usiadł.

- Widzisz? - Wysłannik śmierci zdejmował swoją  
ciemną marynarkę. Wzrok

utkwiał gdzieś daleko, dziwnie, jakby się koncentrował.

Chwilę potem, u

jego ramion rozwinęły się duże, ciemne skrzydła.

- Teraz dasz już sobie radę - powiedział do Amory'ego.

- Poczekaj - krzyknął Amory. - Co mam im mówić? Nic  
mi nie

powiedziałeś!

Skrzydła zdawały się powiększać.

- Powiedziałem ci wszystko, co sam wiem - usłyszał w  
odpowiedzi. - To

znaczy wszystko, co powiedział mi ten, który mnie  
zwerbował.

Pomachał na próbę skrzydłami.

- Zaznaczyłem, że mają być łatwe w obsłudze - zwierzył się Amory'emu.

- Ale... ale...

Stojący obok labrador warknął głucho i zjeżył grzbiet patrząc na

człowieka ze skrzydłami.

- Leroy - powiedział Amory bezradnie. - Mój przyjaciel...

- On da sobie radę. - Pełnomocnik śmierci znowu uderzył skrzydłami.

Och, o mało bym zapomniał - powiedział. - Zapamiętaj: ś m i e r c i n i e

d a się oszukać.

Machnąwszy mocno swoimi nowymi, czarnymi skrzydłami uniósł się ponad

dach i odleciał, wznosząc się coraz wyżej, aż zniknął na zachodzie.

Amory stał patrząc za nim oszołomiony, ściskając w ręce kluczyki

samochodu. Dory patrzył na niego wyczekująco. Nie mógł wrócić z psem do

baru, ale nie chciał też, żeby ten zniknął. Co robić? Czy powinien zacząć

tę zwariowaną robotę, w którą go wrobiono? Zdaje się, że tamten facet tego

właśnie oczekiwał. A zachowywał się tak, jakby miał jakąś władzę. A może

nie? "Ten, który mnie zwerbował" - powiedział. Więc może był po prostu

innym duchem, który został wypchnięty z szeregu, żeby pełnić funkcję

komitetu powitalnego. I co to oznacza dla Amory'ego. Wysłannik wysłannika

śmierci? A może było ich jeszcze więcej? Mógł być  
przecież cały łańcuch, a  
przy tym żaden z nich nic nie wiedział...I co to w ogóle  
oznacza śmierci  
nie da się oszukać. Brzmi to złowieszczo. Może to rodzaj  
ostrzeżenia, że  
pracę należy traktować poważnie.

Dory zaskomlął. Amory przypomniał sobie, że pies  
uwielbiał jazdę  
samochodem. Spojrzał znowu na ciemne niebo. Wciąż  
widoczne było świetlne  
miejsce. A droga zdawała się prowadzić prosto w tym  
kierunku. Cóż, może  
przecież spróbować, nie ma nic do stracenia.

Otworzył drzwi.

- Wskakuj, stary.

Dory wskoczył z zapalem i rozsiadł się na siedzeniu koło  
kierowcy.

Samochód pachniał nowością. Lubił BMW. Silnik ruszył,  
mrucząc swoją  
radosną piosenkę o wspaniałej inżynierii, dzięki której  
został stworzony.

Mężczyzna powiedział, że znajdzie ludzi potrzebujących  
pomocy. W jaki

sposób? Może powinien otworzyć okno, żeby wpuścić  
wibracje, czy cokolwiek

miało to być, do środka? I c o miałby im wtedy  
powiedzieć? Wyglądało na

to, że wszystko, cokolwiek by zechciał. Ale ostrzeżenie na  
temat oszustwa

mogło się odnosić właśnie do tego - nie należy opowiadać  
zbyt

fantastycznych historii.

Wreszcie nie jestem znudzony, pomyślał. Ale w tym samym momencie

opanowało go straszliwe przeczucie. Nawet taka praca może stać się nudna

po pewnym czasie. Pospiesznie powstrzymał się: nie myśl w ten sposób, nie

wierz w to! Tutaj zdarza się to, w co uwierzysz.

Zdecydowanie odsunął od siebie myśl o nudzie i zwolnił sprzęgło.

Kiedy wjeżdżał na autostradę, przypomniało mu się stare powiedzenie.

Powtarzał je w myślach. P o ś r ó d ś m i e r c i j e s t e m ż y w y .

Parsknął śmiechem. Dory, zaskakując go, nagle szczeknął. Zupełnie

zapomniał, że pies miał zwyczaj poszczekiwać, kiedy ktoś się śmiał. Czy to

oznaczało, że Dory był przynajmniej troszeczkę prawdziwy? Że on także był

"iskrą świadomości". Miał nadzieję, że tak.

A co by się stało, gdyby poprosił, żeby Dory był prawdziwy? Wielki znak

na niebie głoszący: "Wypadłeś z gry"? Lepiej nie próbować.

Jechał przed siebie autostradą na spotkanie egzystencjalnego

Nieznanego.

przekład : Dorota Malinowska